

Artystki bulwersują najbardziej.
Prowokują do złośliwości, parodiowania
i protekcyjnych żartów.
Fascynują i kłują w oczy

LOS DAMY

Dama to ma liche życie! Im jest piękniejsza, zdolniejsza i elegantsza, tym bardziej odczuwa smutne skutki swego wywyższenia. Szarzy obywatele nie lubią dam. To znaczy – tęsknią do nich w swych marzeniach, ale potępiają w życiu codziennym. Nieśluszenie zakorzeniony w potocznej świadomości egalitaryzm wymaga, by wszyscy byli równi. O ile jednak można jeszcze dyskutować o równości żółdków, o tyle nie ma nawet co wspominać o zrównaniu mózgow i dusz. Tu różnice manifestują się aż nadto wyraźnie!

A co dopiero artystki! Te bulwersują najbardziej. Prowokują do złośliwości, parodiowania i protekcyjnych żartów. Fascynują i kłują w oczy.

Lubię, gdy telewizja, pośród tłumu bełkoczących polityków, pokazuje naprawdę niezwykle postaci. Przyjemność wzrasta, gdy są to damy. I oto dzień po dniu pojawiły się na moim ekranie Nina Andrycz i Diana Ross. Aktorka i piosenkarka. Choć przecież mógłbym powiedzieć równie dobrze: poetka i aktorka. Albo: pisarka i diva.

Nina Andrycz to wielka heroina polskiego teatru, niezrównana odtwórczyni ról królowych i arystokratek, autorka kilku tomików wierszy i książki autobiograficznej. Ulubiona bohaterka teatralnych anegdot i salonowych popisów parodystycznych. Sprawia to jej wyniosłość, niegdysiej-

sze związki z władzą, a także charakterystyczna intonacja, z jaką mówi, dzięki czemu od wielu lat pozostaje królową manieri scenicznej (trwającą samotnie na tronie od czasu śmierci Ireny Eichlerówny).

W programie „Nina Andrycz – fakty i fikcje” zobaczyliśmy damę. Przyzwocąją do hołdów, które uznaje za zasłużone. Świadomą swej oryginalności, prawie dziwaczności. Pełną dumy czerpanej z faktu, że mimo grania patetycznych, a nawet historycznych, postaci, ocaliła swoją zdroworoządkową osobowość. Tak, Nina Andrycz – choć objawiła się jakiś czas temu jako nader utalentowana poetka, co namięcił swoim autorytetem sam Jarosław Iwaszkiewicz – jest pragmatyczna i trzeźwo ocenia swoją sytuację. Robi to elegancko i bez minoderii. Nie prosi o brawa, nie umizguje się, nie zgrywa na nestorkę, choć przecież nią jest.

W studiu zasiedli sami tylko apologety, wysławiający jej talent, a mimo to dała sobie z nimi radę. Powściągnęła komplementy wýtworkom poczuciem humoru i autoironią, nigdy jednak nie wpadając w kokieteryję.

Następnego dnia usłyszałem wśród najbliższych: Ta Andrycz to dziwoląg. Niczego nie robi normalnie; nie dziw, że ją wszędzie parodiują...

Zmartwiłem się. Wyzierała z za tych słów podświadoma potrzeba zrównania Andryczówny z mniej wyjątkowymi. Jakby żal, że jest inna. A wszak to jej największa zaleta. Cóż za odwaga być inną! Na scenie grać wyniosłe, a w wierszach mieszać ironię z sentymentalizmem. Podobno Ewa Demarczyk chce zaśpiewać jakiś wiersz Niny Andrycz. Wcale się nie dziwię. Ta poezja bliska jest ekspresji Czarnego Anioła. Jakaż to odwaga się nie zestarzeć! Mówić o sobie bez moralizatorstwa i protekcyjnego sugerowania własnego autorytetu. Jaka sztuka być nadal piękną i mieć klasę!

Na koniec – jakaż to rzadkość spotkać człowieka, który nie ma do świata pretensji i przyznaje się do udanego życia. Kto wie, może manie-

ra Andryczówny bliższa jest „normalności” niż codzienne utyskiwanie na to, że nie potrafimy sprostać trudom własnej egzystencji? Wszak jeśli się oblewa egzamin, nie zawsze oznacza to, że pytania były za trudne.

Następnego wieczora zobaczyłem Dianę Ross. Piękną, elegancką, ubraną z przepychem, a śpiewającą całkiem skromnie. Tylko jazz i blues. Bez wielkiej orkiestry, bez elektroniki, efektów, teledysków, baletu, nagich torsów tancerzy i fruujących do nieba rakiet Michaela Jacksona. Coś na zupełnie inną nutę. Ot, jakiś standard George’a Gershwina, kilka piosenek Billie Holliday, na koniec przebój „What a wonderful world”, zaśpiewany nie ochrypłym głosem Louisa Armstronga, lecz słodkim, ścisłym, trochę nieśmiałym, ale filuternie ruchliwym sopranem Diany Ross. Całe półtorej godziny!

Trudno uwierzyć, by w dzisiejszych, videoclipowych czasach coś takiego mogło się spodobać. A jednak! Ten nowojorski recital damy amerykańskiej piosenki, z grudnia 1992 roku, na pewno stał się artystycznym wydarzeniem. Także dla naszej telewizji, która zdecydowała się go emitować w całkiem dobrym czasie; co prawda późnym wieczorem, ale nie nocą.

Diana Ross jest osobowością. Wszystko, co robi, wygląda na spontanicznie wyrażaną potrzebę jej duszy. Nie widać marketingowych fastryg. Nie ma schlebiana gustom, zmierzonym według wyników najaktualniejszych badań rynku słuchaczy. Nie ma ludowej feerii atrakcji, które stosują na przykład Madonna czy Michael Jackson.

Diana Ross jest także damą. Trochę wyniosłą. Bardzo ambitną. Świadomą swojej siły i atrakcyjności. Nieprzemijającą. Posiadającą, tak jak Nina Andrycz, cechę wyróżniającą ją z grona równie utalentowanych osób: wyczucie efektu. Być może bez niego nie byłaby gwiazdą. Wszak cała sztuka polega na tym, by zrobić odpowiednie wrażenie...

Fot. P. Malecki



WARSZAWA
tel. (0-2) 625 67 37

Tomasz Raczek